

Ewa Bednarkiewicz
Prezes Towarzystwa Przyjaciół
Fundacji Jana Pawła II w Warszawie

Sekrety Bożej Opatrzności

*„Wszystko odkryte i odsłonięte jest przed Jego oczami”
(Księga Mądrości)*

Kiedy myślę o Bożej Opatrzności w kontekście mojej drogi życiowej muszę się cofnąć do dzieciństwa, które przypadło na dramatyczne lata II wojny światowej oraz wczesne lata powojenne. Słyszę wtedy nieustanne przestrogi mojej ukochanej matki, jakby bezwiednie powtarzające tekst z Księgi Mądrości: *pamiętaj Pan Bóg wszystko widzi więc bądź posłuszna i nie rób rzeczy niewłaściwych*. Myślę, że w dziecienną pamięć ta przestroga wbiła się na tyle silnie, że na różnych etapach życia czasem mocniej, czasem słabiej, ale zawsze o niej pamiętam.

Należę do tych szczęśliwych ludzi, dla których istnienie Pana Boga jest tak oczywiste, jak fakt, że On mnie stworzył. Zostałam stworzona „w drodze”, istnieję, a więc jestem poddana Bożej Opatrzności, ponieważ wierzę, że Pan Bóg mnie stworzył. Zostałam stworzona *do ostatecznej doskonałości, którą mam dopiero osiągnąć i do której Pan Bóg mnie przeznaczył* (KKK 302). Twórca własnego zamysłu zna cel zamysłu – tylko On – to Jego sekret, czemu wprowadza mnie na taką lub inną drogę, często wbrew moim ludzkim planom. Jego zrządzenia w prowadzeniu mnie do tej doskonałości są właśnie Bożą Opatrznością - jakże często nazywana przez nas – ludzi przypadkiem... lub zbiegiem okoliczności.

To Maritain kiedyś bardzo słusznie zauważył, że Opatrzność Boża najbardziej przejawia się w przypadkach, w których następują jakieś nagłe i niewytłumaczalne skrzyżowania ludzkich dróg. Jesteśmy stworzeniami rozumnymi i wolnymi, musimy więc zdążać do swojego ostatecznego przeznaczenia, także przez wolny wybór. Z wolnej naszej woli wynika, że możemy także i błędzić. Ale wierzę, że przed błędami w wyborach chroni nas miłość i modlitwa, bowiem *Bóg z tymi, którzy Go miłują, współdziała we wszystkim dla ich dobra* (Rz 8,28). Tego współdziałania Boga – Bożej Opatrzności - człowiek doświadcza często zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy, kiedy się to dzieje.

Cofam się do roku 1978, czasów PRL-u. Planujemy z mężem pierwsze wakacje „na Zachodzie”. Chcemy popłynąć statkiem wokół Morza Śródziemnego. Ja – marzę, aby zobaczyć ponoć najpiękniejszy kościół na świecie „Hagia Sophia”. W ostatniej chwili dowiadujemy się, że owszem możemy popłynąć, ale w czteroosobowej kabinie. Dwa tygodnie na morzu z obcymi ludźmi? Nie! Tak się cieszyłam... „Orbis” (jedyna w PRL-u firma turystyczna) proponuje nam wyjazd w innym terminie, na Majorkę, ale trzeba dopłacić – trudno, dopłacamy. Wylot 17.10.1978 roku. *Habemus papam!* rozbrzmiewa w Rzymie.

Nie znamy Karola Wojtyły, doceniamy wielkość wydarzenia, ale wspólna wiza turystyczna, paszporty w „Orbisie”, opłacona wycieczka, nie pozwalają na zmianę planów.

Pocieszamy się, że Hiszpania to kraj katolicki, tak więc obejrzymy uroczystości rzymskie w kolorowej telewizji. Już w autobusie na lotnisku wiozącym nas do samolotu „Iberia”, zwrócił moją uwagę wysoki, elegancki, starszy pan, który weselo przeproszał mnie za potrącenie na zakręcie w autobusie – okazało się, że w samolocie siedzimy obok siebie, on z żoną ja z mężem. I co ciekawe, panowie - obydwaj mecenas - mają wspólnych znajomych z sal sądowych, zarówno w Krakowie, jak i w Warszawie. No to koniec - pomyślałam z rozpaczą o wakacjach - opowieści prawników o różnych kazuistycznych przypadkach znam aż za dobrze, będąc już bądź, co bądź, 8 lat żoną adwokata. Jakie było nasze zaskoczenie, gdy okazało się, że państwo Ostrowscy świetnie znają Karola Wojtyłę od wielu lat, jeszcze z czasów jego wikariatu, a więc od młodości. Przez dwa tygodnie nie rozstawaliśmy się, słuchając z „pierwszej ręki” ciekawych historii związanych z obecnym Ojcem Świętym. Karol Wojtyła nie był już dla nas obcą osobą, kiedy wracaliśmy do Warszawy z Majorki. Bardzo serdecznie żegnaliśmy się z państwem Ostrowskimi na lotnisku, obiecując sobie wzajemne kontakty.

Drugiego czerwca 1979 roku, kiedy Ojciec Święty odwiedził pierwszy raz Polskę i Warszawę wszyscy troje byliśmy na swoich „posterunkach”. Mój mąż w służbie kościelnej trzymał liny przed Uniwersytetem Warszawskim, mój 9-letni syn oczekiwał przyjazdu Ojca Świętego przed kościołem Św. Krzyża, był wtedy najmłodszym ministrantem w parafii Św. Krzyża – parafii mojego dzieciństwa i młodości (obok na Nowym Świecie mieszkała moja mama). Najgorzej było ze mną, bo stałam w tłumie na Placu (wtedy) Zwycięstwa bardzo daleko od ołtarza, ale słyszałam niezwykle mocny głos i znane wezwanie: *Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi – tej ziemi*. Nigdy nie zapomnę uczucia, jakie ogarnęło, zapewne nie tylko mnie, ale każdego, kto był tam obecny. Ciarki po plecach, mimo upału i wiszącej w powietrzu burzy oraz uczucie wewnętrznej, jasnej pewności, że na pewno dzieje się coś niezwykle ważnego, tu i teraz. To coś we mnie było absolutnie niesprecyzowane, jednak pamiętam to uczucie do dziś. Ta biała, silna postać, która mignęła mi w otwartym samochodzie na Krakowskim Przedmieściu, z piękną dłonią błogosławiącą na lewo i na prawo, zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

Praca i obowiązki nie pozwalały jechać za Nim do Krakowa. Wszyscy płakaliśmy, kiedy wyjeżdżał. Zbieraliśmy zdjęcia, które się wtedy ukazywały. Do dziś mam wielką szufladę wypłowiałych zdjęć, które są nam droższe od późniejszych kolorowych albumów na kredowym papierze...

Zbliżał się rok 1980, „Solidarność”, procesy więźniów politycznych, w których uczestniczył już mój mąż. W listopadzie 1980 roku zadzwonił do nas z Krakowa pan Ostrowski i złożył propozycję, którą uważaliśmy za wielki zaszczyt. Krakowscy adwokaci – dobrzy znajomi Biskupa, Arcybiskupa, wreszcie Kardynała Wojtyły z Opłatków środowiskowych – postanowili wybrać się teraz na Opłatek do Papieża, do Rzymu. Zostaliśmy zaproszeni do wzięcia udziału w tej pielgrzymce. Szaleliśmy z radości.

W duchu ogromnie żałowałam, że nie możemy zabrać syna, jednak nie przyszło nam nawet do głowy o cokolwiek prosić, było to bowiem spotkanie środowiskowe prawników.

I znów, jak na taśmie filmowej widzę moment, kiedy do ogromnej sali prywatnej biblioteki papieskiej w Watykanie, gdzie stała 4-metrowa choinka, wchodzi Ojciec Święty. Wysoki, barczysty, świetnie zbudowany, z opaloną, pogodną twarzą. I od progu żartuje: *Ale zrobiłem wam kawał. Teraz na Oplątek musicie jeździć do Rzymu.* Kiedy kłękamy przed białą postacią drżą mi kolana, a mój mąż mówi *My z prowincji warszawskiej Ojciec Święty.* Z emocji nic innego nie przychodzi mi do głowy, jak powtórzyć polecenie mojego dziesięcioletniego syna, że pozdrawiają Go ministranci z parafii Św. Krzyża w Warszawie na czele z najmłodszym – naszym synem Mateuszem. Ojciec Św. z pełnym uśmiechem odpowiada mi: *Proszę ich pozdrowić ode mnie z tym najmłodszym na czele – powtarza po mnie z humorem.*

Jeszcze jeden incydent z tamtego niezapomnianego wieczoru... Nasz syn, czując się bardzo skrzywdzonym, że jedziemy bez niego do Rzymu, wręczył mi na pożegnanie swoją książeczkę do nabożeństwa od Pierwszej Komunii Świętej i poprosił o podpis Ojca Świętego w książeczce. Byłam przerażona tą prośbą, ale czegoż nie zrobi matka dla jedynaka. Postanowiłam przed audiencją spytać (dziś już św. pamięci) panią Joannę Ostrowską, która „matkowała” Ojcu Świętemu w Krakowie jako jeszcze księdzu, czy wypada o to poprosić. Kochana pani Joanna powiedziała: *Weź książeczkę ze sobą, zobaczymy.* W pewnym momencie, po kolędach (a audiencja trwała prawie do 12 w nocy), powiedziała do mnie: *Idź teraz, może Ojciec Święty podpisze.* Trzęsąc się w środku ze zdenerwowania, podeszłam do Ojca Świętego i wyjąkałam prośbę najmłodszego ministranta. A Ojciec Św. powiedział konspiracyjnym tonem: *Macie pióro? Trzeba szybko. Chociaż singla [inicjaty] mu napisze. Tylko żeby Stasio nie widział, bo mi nie wolno.*

To już było dla mnie oszałamiające. Wtedy też po raz pierwszy zobaczyłam obecnego kardynała Stanisława Dziwisza.

Po powrocie z Rzymu - oprócz ogromnej wdzięczności dla Pana Boga za to pierwsze osobiste spotkanie z Ojcem Świętym Janem Pawłem II, za Mszę świętą w prywatnej kaplicy, z Komunią świętą z Jego rąk, wspólnym Oplątkiem i kolędami - stale mieliśmy uczucie, że dostaliśmy coś, jak mówią Anglicy *in advance*, czyli na wyrost. Przynajmniej ja tak myślałam o sobie. Mąż wydawał mi się być dużo bardziej godny tego spotkania: bronił ludzi, bronił w procesach politycznych, narażał się, ale ja?

Wkrótce okazało się raz jeszcze, że małżeństwo to jedność. Dramatyczna historia Polski tamtego czasu wciągnęła nas w swoje wiry. I to wcale nie na początku stanu wojennego, kiedy internowano wielu naszych przyjaciół, do których mąż zaczął natychmiast wozić paczki z komitetu prymasowskiego, zorganizowanego przy Kościele Św. Marcina na Starym Mieście, ale pod jego koniec.

11 stycznia 1984 r. UB zapukało do naszych drzwi o 5 rano. Wpadło 5 cywilów, w tym jedna kobieta, niejaka prokurator Jackowska i rozpoczęło się przeszukiwanie domu oraz przeglądanie akt adwokackich.

Czego szukano? Dowodów na pobicie na milicji zmarłego Grzesia Przemyka – syna naszej koleżanki, którego pochowaliśmy w maju 1983, zakatowanego na posterunku milicji.

Mąż był pełnomocnikiem matki zamordowanego chłopca. Kiedy wszczęto proces „pro forma” w sprawie zabójstwa dziewiętnastoletniego maturzysty, mojego męża postanowiono aresztować tylko po to, aby nie mógł wziąć udziału w procesie, bo a nóż miał jakieś dowody morderstwa. No cóż, metody komunistycznego reżimu nie dopuszczały sytuacji udowadniania władzy bezprawnego mordowania obywateli...

Tak więc zostaliśmy z synem sami, jak się później okazało na pół roku, ale wtedy w styczniu nie wiedzieliśmy, jak się to wszystko skończy. Kiedy nie zwolniono męża po trzech miesiącach, wczesną wiosną w marcu, postanowiłam, jak każda zgnębiona Polka, pojechać z synem na Jasną Górę do Częstochowy, błagać Matkę Boską o siły dla nas wszystkich, pomodlić się w intencjach wszystkich więźniów politycznych, a nasze cierpienia ofiarować w intencji zdrowia Ojca Świętego (mocno już wtedy nadwerężonego zamachem), który tam w Rzymie też cierpiał z powodu zniewolenia Ojczyzny.

Na Jasnej Górze oo. Paulini, kiedy się przedstawiłam, natychmiast zarządzili Mszę św. przed Cudownym Obrazem. Byliśmy z naszym 14-letnim już wtedy synem niezwykle wzruszeni. Po Mszy św., dziękując ojcu Paulinowi za Mszę św. zwierzyłam się, że patrząc na jego biały habit zatęskniłam z całego serca do Ojca Świętego, który teraz wydawał mi się zupełnie fizycznie nieosiągalny (o paszportach wtedy można było najwyżej marzyć!). A o. Paulin powiada do mnie:

- Niech pani napisze list do Ojca Świętego.

Zdumiona odpowiedziałam mu – *Nie, no jak to? Nie mogę. Papież ma cały świat na głowie! Owszem miałam szczęście Go poznać w 1980 w Rzymie, ale list? Ja? Nie. To nie wypada, nie będę go martwić.*

- Ależ wypada – odpowiedział o. Paulin – *Ojciec Święty bardzo się ucieszy jak się dowie, że pani tu przyjechała z synem.*

- Nie, nie – broniłam się – *cóż mogłabym mu napisać, poza tym pocztę sprawdzają. List by nie doszedł.*

- List doręczymy – odpowiedział mi o. Paulin. *Proszę, pójdziemy do refektarza.*

Dostałam papier i pióro... Siadłam i napisałam to, co myślałam: że pozdrawiamy Go z Jasnej Góry, miejsca, które kocha, że tęsknimy i wspominamy niezapomniany wieczór kolęd z prawnikami krakowskimi, że cierpienia rozłąki i aresztu męża ofiarowujemy Panu Bogu w intencjach naszego Papieża Polaka, a Jego prosimy o modlitwę w intencji wszystkich politycznych więźniów w Polsce, wśród których znalazł się także mój mąż Maciej.

Rzeczywiście ulżyło mi po napisaniu tego listu. O. Paulin wiedział, jak nas pocieszyć. List oddałam i wróciłam do Warszawy spokojniejsza, chociaż dalej nie dostawałam prawa do widzenia się z mężem i musieliśmy zadowolić się jednym listem miesięcznie oraz zanieśieniem paczki do więzienia raz w miesiącu...

Nadszedł czerwiec, zbliżały się wakacje. Mój stan psychiczny się pogarszał. Nie wiedziałam też dokąd wysłać dziecko na wakacje. Sama musiałam zostać w Warszawie i czekać na męża.

Któregoś dnia zadzwonił do mnie mój teść, też prawnik, który znał sekretarza Episkopatu Polski i powiedział mi, że ma dla mnie niespodziankę. Kiedy się z nim spotkałam dał mi list, zaadresowany imiennie do mnie, ze znakiem papieskim na kopercie. Nie wierzyłam własnym oczom, trzymałam w ręku list od Ojca Świętego! To było nieprawdopodobne, przyciskałam kopertę do serca i bałam się wprost otworzyć. W końcu mój teść, dość zniecierpliwiony powiedział żartując jak zwykle: *No co, nie chcesz wiedzieć, co ci napisał Ojciec Święty?*

Ojciec Święty odpowiedział na nasze najbardziej dręczące pytania, których przecież nie zadawałam w liście do Niego. Zapewniał nas, że *mąż wnet wróci do domu i do pracy zawodowej*. Słowo „wnet” stanowiło dla mnie pewną wątpliwość. W Warszawie mało używa się słowa „wnet”. Zajrzałam do słownika staropolszczyzny, aby sprawdzić, jaki okres czasu definiuje to słowo. Słownik podawał: *wkrótce, w bardzo krótkim czasie*. Po 5,5 miesiącach bezprawnego aresztu męża, różnych interwencjach z kraju i z zagranicy z powodu drastycznie pogwałconych praw człowieka w stosunku do adwokata, nadzieja na jego powrót była bardzo nikła, kiedy list dotarł do moich rąk. Minęło już ponad dwa miesiące od naszej bytności na Jasnej Górze. A jednak natychmiast uwierzyłam w to, co było w nim napisane. Serce skakało mi z radości, że mąż niedługo będzie w domu, i że nie zabiorą mu legitymacji adwokackiej, czego obawialiśmy się najbardziej, bo uznałam, że jeżeli napisał to Ojciec Święty - to tak będzie. List położyłam sobie pod poduszkę i pierwszy raz od dłuższego czasu zasnąłam bez problemu.

W dwa tygodnie później, 11 lipca 1984 roku, mąż niespodziewanie został wypuszczony z aresztu. Co prawda były prezes PRL-owskiej Naczelnej Rady Adwokackiej natychmiast po wypuszczeniu męża na wolność, wezwał go do siebie i ostrzegł, że udział w jakimkolwiek procesie politycznym spowoduje skreślenie go z listy adwokatów, ale słowa Ojca Świętego sprawdziły się i mąż do pracy zawodowej wrócił...

Następne 4 lata były trudne dla wszystkich Polaków. My naturalnie nie prosiliśmy o paszport do Rzymu wiedząc, że z pewnością by nam go odmówiono. Wreszcie nadszedł 4 czerwca 1989 roku. Mój mąż w wolnych 33-procentowych wyborach znalazł się w sejmie. W listopadzie 1990 roku został Prezesem Polskich Adwokatów w wolnej Polsce.

Od pierwszego Opłątka w Rzymie minęło 10 lat. I znów w 1990 roku jechaliśmy na Opłatek z krakowskimi adwokatami. Wtedy już zabraliśmy syna, który z ucznia stał się w międzyczasie świeżo upieczonym studentem wydziału filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. Wkrótce, po tych znów niezapomnianych kolędach, mąż otrzymał z Watykanu niezwykle zaszczytną propozycję, objęcia polskiego Przedstawicielstwa osobistej Fundacji Jana Pawła II, założonej w Rzymie 16 października 1981 roku. Zaczął się najważniejszy i najpiękniejszy rozdział naszego życia.

Praca w Fundacji, która trwa do dzisiaj, i która przez 15 lat dawała możliwość regularnych kontaktów z Ojcem Świętym, aż do dnia Jego odejścia. Ostatni raz widzieliśmy Go na wspólnym obiedzie 24 stycznia 2005 roku.

* * *

Ciągle się zastanawiam, czy to wszystko zdarzyłoby się gdybyśmy w październiku w 1978 roku popłynęli statkiem po Morzu Śródziemnym? Przecież nie spotkalibyśmy (dziś już śp.) państwa Ostrowskich, którzy zaprosili nas w 1980 roku na swój Opłatek z Ojcem Świętym, ale to jeden z sekretów Bożej Opatrzności w moim życiu. Jest ich zresztą dużo więcej. I tu kolejny przykład.

To było w końcu kwietnia 2004 roku. Wiosenny dzień zachęcał do spaceru. Wracając z jakiegoś spotkania, postanowiłam przejść się Nowym Światem – ulicą swojego dzieciństwa i młodości. Od śmierci mamy rzadko tu bywałam, idąc zwracałam uwagę na wszystko, co było nowe, a więc mi obce. Jeden z niewielu sklepów, który znajdował się na miejscu to była „Desa”. Lubiłam stare przedmioty więc naturalnie wstąpiłam, mimo że wiele razy przyrzekałam sobie nie wchodzić do takich sklepów. Niczego już nie potrzebowałam na tym etapie życia. Przedmiotów w moim dużym, urządzonej domu znajdowało się aż za wiele, a moja do nich skłonność była niebezpieczną słabością. Naturalnie, lampa, którą zobaczyłam idealnie pasowała do naszej jadalni, zaczęłam więc myśleć jak pięknie wyglądałaby nad stołem, prawdziwe „art deco” (nasz dom na Żoliborzu był z tego okresu)... Nagle ocknęłam się. Zwykle w momentach takich materialnych pokus ratowała mnie modlitwa. Poczulałam, że natychmiast muszę wyjść z tego sklepu. To diabeł, pomyślałam, po co mi ta lampa, przecież już tyle wiem o przemijaniu tego świata. Spojrzałam na zegarek i wyszłam, prawie wybiegłam ze sklepu. Pomyślałam, że mam jeszcze 1,5 godziny do spotkania z mężem, a więc świetną okazję pójścia na popołudniową Mszę św. Niestety w pobliskim Kościele Św. Krzyża Msza św. o godz. 16 właśnie się kończyła. Przypomniałam sobie, że o godz. 17 jest Msza św. w Kościele Twórców u ks. Niewęgłowskiego na Placu Teatralnym. Nie wiem czemu nie pomyślałam o Kościele Panien Wizytek, gdzie zawsze jest Msza o godz. 17 i dokąd było dużo bliżej. Nie, poszłam do Kościoła na Placu Teatralnym. O godzinie 18 miałam się spotkać z mężem naprzeciwko tego kościoła. Tak więc zrobiłam spacer w kierunku Opery i Placu Teatralnego, omijając już jakiegokolwiek sklepy. Po zakończeniu Mszy św. podszedł do mnie ks. Niewęgłowski ze słowami:

- Duch Święty mi panią zsyła pani Ewo, bo dzisiaj myślałam, żeby do pani zadzwonić, a pani się akurat zjawiała.

- Cieszę się proszę księdza, ale o co chodzi – spytałam.

- No, bo to dotyczy Ojca Świętego, więc myślałam, że może pani Stowarzyszenie mogłoby mi coś pomóc.

Spojrzałam na zegarek. Do spotkania z mężem miałam jeszcze kilkanaście minut więc poszłam z księdzem do kancelarii przylegającej do kościoła. Ksiądz rozłożył przede mną wielkie kartony z rysunkami.

- *Bo widzi pani. Za sześć tygodni minie 25 lat od pierwszej Mszy św. Papieża Polaka w Ojczyźnie. Tu na tym palcu w Warszawie powiedział te wielkie słowa: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi”. Przecież to było 2 czerwca 1979, pamięta pani?*

Któż by nie pamiętał?

Te ciarki, które przeszły po całym moim ciele, to niezapomniane uczucie, że dzieje się coś, czego jeszcze nie ogarnia umysł, ale serce, które tęskni do wolności już wie! Ta nieśmiała jeszcze wtedy nadzieja, którą zasiewał ten silny, mocny głos, ponieważ postaci nie widziałam, stałam hen daleko, pod Hotelem Victoria, gdzie tak dziwnie było przyjmować na trotuarze Komunię św.

- *Tak więc – powiedziałam – w czym mogę księdzu pomóc?*

- *No właśnie, profesor Gustaw Zemła (znany warszawski rzeźbiarz) narysował mi tę gołębicę i można by ją wkomponować w tympanon kościoła. Wie pani, gołębicę, jako symbol Ducha Świętego – dodał.*

- *No ale na tym rysunku nie ma napisu. Gdzie ma być ten napis – zainteresowałam się natychmiast.*

- *Ewentualnie pod spodem – odpowiedział ksiądz.*

- *Ewentualnie? – zdziwiłam się, jakbym to ja już była sponsorką tego przedsięwzięcia.*

- *No wie pani, sam cytat wystarczy, przecież to z Pisma Świętego. Tam się już nic więcej nie zmieści.*

Nie byłam przekonana do tej argumentacji. Pomyślałam sobie, że jeżeli gdziekolwiek zdobędę na to pieniądze, to nie ustąpię. Musi być podpis - Jan Paweł II i data - 2 czerwca 1979.

- *No dobrze. Ale ile by to miało kosztować?*

Patrzyłam na zegarek, bo mój czas się już kończył. Mąż czekał. Ksiądz cichutko wymienił brakującą mu sumę. Nabrałam powietrza w płuca. To prawie wszystko, co ja mam z trudem zebrane na koncie mojego Stowarzyszenia. Nie mogę wszystkiego oddać. A nasi studenci w Lublinie, wyjazd z nimi do Wadowic i Zakopanego na zakończenie roku akademickiego, który obiecałam? Nie, nie mam tyle pieniędzy. Skąd je wziąć? Pomysł mi się niezwykle podobał. Chciałam księdzu pomóc. Tylko jak? Myślałam gorączkowo.

- *Naturalnie nic nie mogę obiecać proszę księdza – odpowiedziałam – ale postaram się i zadzwonię, jak coś wymyślę.*

Pożegnałam się i poszłam na spotkanie z mężem. Mąż już na mnie czekał i od razu mnie przeprosił, że umówił się tutaj także z naszym kuzynem z Poznania, który właśnie jest w Warszawie. Kuzyn jest właścicielem bardzo dobrze prosperującej firmy w Poznaniu. Od 7 lat on i cała jego rodzina także są członkami Stowarzyszenia Przyjaciół Fundacji Jana Pawła II. Powitałam go tak samo, jak ksiądz Niewęgłowski przed chwilą witał mnie w kościele.

- *Duch Święty mi cię zesłał, Jureczku.*

- *A on na to: Na jaką akcję potrzebujesz teraz pieniędzy?*

(Rok wcześniej wspomagał finansowo wyjazd do Rzymu Filharmonii Narodowej na koncert, który organizowało nasze Stowarzyszenie dla Ojca Św. w Auli Pawła VI w Watykanie – Filharmonia Narodowa zagrała tam Ojcu Św. „Missa Pro Pace” Wojciecha Kilara. Z tej okazji koncertu wysłuchało w Rzymie ok. 6 tys. osób).

Poprowadziliśmy naszego kuzyna przed kościół stojący naprzeciw kawiarni, w której się spotkaliśmy. Pokazaliśmy tympanon, tymczasem jeszcze pusty. I o dziwo rodowity, skrzętny poznaniak, przyrzekł w najbliższym tygodniu przekazać na konto Stowarzyszenia pieniądze potrzebne na ten cel.

Zadzwoiłam następnego dnia do księdza Niewęglowskiego. Ogromnie się ucieszył. Do pokonania był jeszcze tylko czas, którego na wykonanie dzieła było mało. A jednak zdążyliśmy - 2 czerwca 2004 roku po uroczystej Mszy św. przed kościołem na Placu Teatralnym tympanon z gołębicą (i odpowiednim podpisem) odsłaniał Jego Ekscelencja Ks. Abp Józef Kowalczyk, Nuncjusz Apostolski. Obecni byli członkowie Towarzystwa Przyjaciół Fundacji Jana Pawła II, jak również sponsor wraz małżonką z Poznania.

Na konferencji prasowej zorganizowanej wokół tego wydarzenia opowiedziałam o Bożej Opatrzności i Duchu Świętym, który tak zdecydowanie doprowadził mnie do księdza Niewęglowskiego i dał zadanie do wykonania, podstawiając mi owego dnia prawie pod drzwi kościoła także mojego kuzyna Jerzego, który w efekcie stał się sponsorem całego przedsięwzięcia. Ale ludzie nie bardzo słuchali mojej opowieści. Tylko jedna wtedy osoba słuchała bardzo uważnie, co zauważyłam. I po konferencji prasowej podeszła do mnie. Była to pani Maria Wilczek, która zapytała mnie: *Dlaczego pani o tym nie napisze?* Patrzyłam na nią zdumiona...

Gołębicę w tympanonie na Placu Teatralnym z cytatem z homilii Ojca Świętego z dnia 2 czerwca 1979 roku można obejrzeć. Zdobi fasadę kościoła pw. Św. Andrzeja, Kościoła Duszpasterstwa Twórców. Podpis Jan Paweł II i data homilii zmieściły się pod płaskorzeźbą, która zostanie przypomnieniem dla tych, którzy „za późno się urodzili”, aby wtedy – 2 czerwca 1979 roku – mogli usłyszeć ten jasny, mocny głos, pierwszy raz wygłaszający homilię w zniewolonej jeszcze wówczas Ojczyźnie, na placu Zwycięstwa w Warszawie:

**Niech stąpi Duch Twój, niech zstąpi Duch Twój i odnowi
oblicze Ziemi, tej ziemi.....**